

JAN ROSEN. ŚW. HUBERT

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

Nr. 1. Wrzesień 1933. Rok. X.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Ks. Walery Adamski: Wychowanie państwowe. (Poznań — Ostoja — 1933). Ciekawa to książka! Choć nieco trudniejsza do zrozumienia, zajmie zapewno tych z najstarszych naszych czytelników, którzy interesują się sprawami społecznemi i wychowawczemi nietylko z ich strony praktycznej, ale i naukowej. — Mamy tu określenie wychowania jako czynu i stosunku społecznego, pociągającego wzajemne oddziaływanie wychowawcy i wychowanka. Wychowanie może być spontanicznem, czyli samorzutnem, albo zracjonalizowanem, czyli planowem. Wychowanie państwowe musi być planowe i wnikać w różne kategorje czynności społecznych. Z nich na pierwszy plan wysuwają się t. zw. czynności **integracyjne**, przez które obywatele mają „dbać o całość i trwałość swego państwa... odznaczać się posłuszeństwem dla norm państwowych, oddawać cześć osobom zasłużonym... mieć miłość dla swego państwa, lojalność dla jego praw". W wykonywaniu wychowania państwowego bierze udział całe społeczeństwo przez grupy społeczne. Najgłębszy jest wpływ grup religijnych. „Dokonywanie wychowania państwowego przy pomocy wychowania religijnego należy niewątpliwie do najskuteczniejszych sposobów... bo grupy religijne... mają najwięcej możności kształcenia woli i uczuć".

Podniebny lot. — Życiorys, listy i pamiętnik polskiego lotnika, Antoniego Scheur'a. W opracowaniu St. Tworkowskiego. (Poznań — Ostoja — 1933). Jest to nowe, rozszerzone wydanie książki: „Pamiętnik polskiego pilota", która w pierwszem wydaniu była wprost rozchwytana. Dziwny urok mają słowa tego żołnierza polskiego, który przedewszystkiem był dobrym dla wszystkich i zawsze wesołym. Wszędzie i zawsze jest mu dobrze — w domu rodzinnym, na wojnie czy w szkole. „Gdy się naprawdę kocha Boga, ufa Jemu i ma się choć minimum uświadomienia czem On jest, to wszystko wydaje się miłem, kochanem..." Notuje Antoś w swym pamiętniku.

Czytelniczkom, dla których powyższe książki są za poważne radzę przeczytać: **Janiny Helm — Pirgowej: Zastęp.** (Warszawa 1933, Wyd M. Arcta). To kartka z dziejów polskiej młodzieży z przed 20-tu laty. Sami się zruszczyć nie dali i chwiejących się wzmocnili.

Uważnie przeczytać!

Do niniejszego numeru dołączamy blankiety nadawcze P. K. O. — Wielu prenumeratorów zalega z opłatą za rok ubiegły. — Drukarnia czeka... procenty za zwłokę rosną...

Gorąco prosimy o nienarażanie drukarni i wydawnictwa na takie straty!

Ufamy, że nie będziemy zmuszeni tak przykrej sprawy znów poruszać.

Czytelników, którzy zaległości uregulowali uprzejmie prosimy, by dalszą prenumeratę zechcieli opłacić Z GÓRY, PRZYNAJMNIEJ NA MIESIĄC.

Przy końcu roku wydawniczego będą przeznaczone PREMJE W POSTACI KSIĄŻEK najregularniej płacącym abonentom. ADMINISTRACJA.

TREŚĆ N-RU 1:

Dziś i Jutro wydaje cykl zeszytów regjonalnych z poszczególnych stron Polski. Dotychczas wyszły nast. zeszyty: **Kaszuby, Wielkopolska, Kujawy, Kraków, Tarnów i Podhale Śląsk.** Zeszyt październikowy, poświęcony **Małopolsce Wschodniej**, redaguje **Komitet gimn. SS. Urszulanek w Kołomyi ul. Kraszewskiego 23.**

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.

Numer niniejszy powiększony **1 zł.**

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY

ROK X. KRAKÓW, WRZESIEŃ 1933. NR. 1.

LWÓW



Lwów. — Widok ogólny.

L W Ó W

Niebo zwichrzone i chmurne
Jak przyczajone zwierzę,
Dumne, wspaniałe miasto
Wśród wzgórz zielonych leży.
Na stokach śpią ogrody
W zieleni długich włosów,
W ogrodach — dzieci śpią
Kamiennym snem herosów.
Po skwerach i po placach
i po asfalcie ulicy
heroizm rzymski chodzi
w milczenia tajemnicy.
Heroizm w samo południe
Przechadza się po rynku,
Wiesza Virtuti militari
Na piersiach szerokich budynków.
Heroizm surowy pilnuje
Żywego tętna miasta,
W atmosferze, gdzie mały ulicznik
Na bohatera wyrasta.
„Niech w inną wiatr niesie stronę.
Gwar ulic, huk głosów, aut trąby:
Bo zbudzą się moi chłopcy
W cieniu katakomby...“
Na stokach śpią ogrody
W zieleni długich włosów,
W ogrodach dzieci śpią
Kamiennym snem herosów.

S. M. T.

W KATEDRZE ORMIAŃSKIEJ

(POLICHROMJA JANA H. ROSENA).

W starodawnej części Lwowa, pomiędzy ulicami Skarbkowską od północy a Ormiańską od południa, wciśnięty w nieciekawe domy, ukrył się zaułek ormiański. Wśród zacisznego wirydarza cmentarnego przysiadła, podłużna budowla kościelna, od południa zdobna skromnym i niskim portykiem renesansowym. To katedra ormiańska, jedyny w swoim rodzaju zabytek na ziemiach polskich, jeśli nie w całej Europie! Już pierwsze spojrzenie rzucone na tę bryłę zwartą, spoiście osadzonych części architektonicznych, mówi o starożytności jak i o wschodniem pochodzeniu zabytku. Zwrócona ku wschodowi kamienna ciosowa absyda, z dwoma półabsydami po bokach, wybitnie zarysowana nawa poprzeczna i na jej przecięciu z nawą główną, wysoki, dwunastoboczny tambur ciosowy, z czterema oknami zwróconemi na cztery świata strony, mówi wyraźnie, że to świątynia o założeniu centralnem. Podobny typ świątyń spotyka się najczęściej w Syrji, Persji lub Armenji. Taki charakter miała najstarsza część katedry wzniesiona gdzieś pod koniec w. XIV, a więc bezpośrednio po ustanowieniu przez Kazimierza Wielkiego w r. 1367 jedynego w Polsce biskupstwa ormiańskiego obrządku. Do tej prastarej świątyni dobudowano w w. XVII. niejako nowy kościół, stanowiący dzisiejszą nawę główną, ozdobioną czterema oknami o gotyckich łukach. Równocześnie dodano do rozszerzonego w ten sposób kościoła, dzisiejszą zakrystję i połączoną z nią kaplicę.



O pierwotnem wyposażeniu i urządzeniu tej świątyni nie posiadamy niestety żadnych istotnych i bliższych wiadomości, ale że wewnętrzne jej urządzenie nosiło wybitne cechy wschodnie, niedwuznacznie świadczą freski figuralne odsłonięte na murach i framugach okiennych w czasie ostatniej rekonstrukcji. W w. XVIII około r. 1750 pożar zniszczył świątynię, zaczem arcybiskup Jakób Stefan Augustynowicz (1752—1783) odnowił swą katedrę, dając jej wewnętrzne urządzenie w stylu panującego podówczas baroku. Barok ten był nieszczególny pod każdym względem,

*) Jego Świątobliwość Papież Pius XI powołał obecnie prof. Rosena do Citta di Vaticano zlecając mu wymalowanie kaplicy papieskiej w letniej rezydencji papieży w Castel Gandolfo.



zarówno w konstrukcji ołtarzy jak i malowidłach ściennych, i co najgorsze zakrył istotne starożytne i wschodnie oblicze tej pięknej świątyni. Panował w niej ów barok aż do czasów ostatniej gruntownej i znakomicie przeprowadzonej rekonstrukcji. Myślą przewodnią tej rekonstrukcji było usunięcie małowartościowych dodatków w. XVIII, a nadewszystko banalnych malowideł ściennych, a temsamem przywrócenie starożytnym murom niewątpliwego charakteru, wschodniej armeńskiej świątyni. W związku z temi zamierzeniami wyłoniła się myśl odsłonięcia frontonu katedry ku ulicy krakowskiej i w tym celu dobudowano wedle projektu arch. F. Mączyńskiego z Krakowa, do nawy głównej kruchtę, kopulastą wraz z chórem. Tak więc dzisiejsza katedra składa się z trzech części, najstarszej świątyni centralnej, stanowiącej prezbiterjum, pochodzącej z w. XIV, nowszej renesansowej z w. XVII, oraz dobudówki nowej, z początku naszego stulecia.

Po usunięciu tynku wewnątrz i zewnątrz świątyni pierwotnej, ukazała się w dzisiejszem prezbiterjum w całem pięknie i dostojeństwie jego pierwotna oryginalna struktura, nosząca wszystkie wybitne znamiona architektury armeńsko-syryjskiej. Ukazały się ściany z ciosów piaskowca, w niektórych fragmentach pokryte charakterystyczną ornamentyką wschodnią, płasko rzeźbioną w kamieniu. Po usunięciu lichych i jakby prowizorycznych ołtarzów drewnianych z w. XVIII, wbudowanych po pożarze, tu i tam ukazały się resztki fresków figuralnych, których nie strawił pożar. Nieliczne zachowane ich fragmenty świadczyły, że malowidło kościoła miało wszystkie cechy malowideł bizantyńskich: miało bowiem w sobie pełną powagę i posągowość kościelnego malowidła bizantyńskiego. Nieliczne te fragmenty wskazywały jednocześnie niejako wytyczną drogę dla wewnętrznego wyposażenia kościoła odnowionego.

Pierwsza myśl zdawała się iść w tym kierunku, aby świątyni wnętrze pokryć mozajką, tak jak to bywa w kościołach Rawenny, Palerma lub Rzymu, wzniesionych pod przemożnym wpływem sztuki Wschodu. A więc na złotem tle mozajkowem miały się ukazywać barwne postaci świętych, układane z drobnych kamyczków barwnych, ujęte w ramy zdobnych ornamentów. Zaczątkiem tej koncepcji są mozajki zdobiące tambur i półkolistą jego kopułę oraz sklepienia w prezbiterjum, wykonane wedle projektów Józefa Mehoffera. Wojna przerwała jednak te prace, a podjął je po wojnie prof. Witold Minkiewicz, jako kierownik architektonicznej odbudowy świątyni, stronę zaś malarską powierzył ks. arcybiskup Teodorowicz artyście malarzowi Janowi H. Rosenowi.

Młody artysta stanął wobec doniosłego, odpowiedzialnego i niepomiernie trudnego zadania. Stwarzał je zarówno wschodni i starożytny charakter budowli, jak i nastroje i prądy nurtujące we współczesnej sztuce. Z jednej strony zdawały się chylić ku schyłkowi założenia sztuki, dążącej do jak najbardziej namacalnej i uchwytnej prawdy,

czyli tak zwanej sztuki naturalistycznej, z drugiej zaś strony, raz poraz, wyłaniały się najrozmaitsze bojowe hasła sztuki uciekającej przed prawdą przedmiotów i życia. W sztuce zaś religijnej dużo żywotności i siły posiadały jeszcze hasła znakomitej sztuki Wyspiańskiego, głoszące powrót do ludowości, a zwłaszcza związanej z nią naiwności, jako do niewyczerpanej krynicy siły i świeżości. Pod wpływem tych usiłowań zaludniły się nasze kościoły postaciami



Madonn, przyodzianych w szaty wieśniacze, ustylizowanych na wiejską nutę naiwnej piosenki, kolendy lub pastorałki.

Za zasługę poczytać należy naszemu artyście, iż nie poszedł za żadnym z wymienionych kierunków, żaden z nich bowiem nie odpowiadałby dostojeństwu starożytnych murów czcigodnej świątyni. Wybrał on drogę własną, żmudną i zawrotną, gotującą twórczej myśli jego szerokie możliwości wzlotów, triumfów, a może niekiedy i zawodów. A co najbardziej jest zdumiewające, że młody artysta odrzucił wszystkie modne i uznane prądy, nie idąc nawet na lep tak wziętej u nas polichromji ornamentalnej, a wybrał jednocześnie drogę najtrudniejszą polichromji figuralnej, łączącej nieuchronnie pełnię treści z bogactwem kompozycji.

Kompozycja bowiem figuralna, zwłaszcza o charakterze religijnym, musi posiadać pełną treść, najściślej związaną z dogmatyczną stroną wiary, jak i kompozycję, odpowiadającą wszystkim wymogom sztuki. Swoboda artystycznego tworzenia jest w tym wypadku znacznie ograniczona, zwłaszcza w porównaniu z malarstwem dekoracyjnem, ornamentalnem, nie wymagającem żadnego zespołu treściwego... Dobór i układ scen religijnych, charakterystyka postaci, harmonja barw, niezbędna więź dogmatyczna w treści scen przedstawianych, dekoratywne traktowanie malarskiej techniki, oto zadania, które wymagały niesłychanego opanowania i przemyślenia.

Dzieło sztuki religijnej nie powstaje nigdy na drodze rozwiązywania takiego, czy innego problemu czysto technicznego, malarskiego lub rzeźbiarskiego. Ono musi być natchnione duchem niezłomnej i głębokiej wiary, zdolnej do zbudzenia w drugich otuchy, nadziei i miłości prawd objawionych. Ono musi posiadać w sobie coś, co nie z tego jest świata, co trwa i nie przemija przez wieki, czemu słów brak, a co tylko wiara przyoblec potrafi w kształty realne.

Z tych założeń wychodząc, artysta rzucił na mury prastarej świątyni szereg głęboko pomyślanych i przemyśla-

nych kompozycyj, mających służyć do upamiętnienia i uzmysłowienia scen związanych z dziełem Odkupienia, powtarzającego się nieustannie w bezkrwawej ofierze na ołtarzach. Dlatego prezbiterjum zajęły trzy najważniejsze akty Odkupienia: Narodzenia Pana, Ostatnia wieczerza i Ukrzyżowanie. Ściana prawa nawy głównej ukazuje akty przygotowawcze do dzieła Odkupienia, a więc ścięcie św. Jana Chrzciciela, Zwiastowanie anielskie i ofiarę Abrahama. Ściana lewa tej nawy odtwarza w szeregu scen czternaście postaci świętych. z w. III i IV po Chr. Łuk oddzielający nowowybudowaną część kościoła wypełniają symboliczne postaci pięciu zmysłów, oraz odpowiadające im uzmysłowienia siedmiu darów Ducha św. Łuk triumfalny zdobią złociste cheruby strzegące niejako wejścia do miejsca świętych, do Sakramentu Ołtarza.

Ale spojrzmy na same obrazy!

Ze straszliwej wizji Katarzyny Emmerich noc po ścięciu św. Jana Chrzciciela, którego męczeństwo tak dosadnie maluje ewangelja św. Marka w r. VI w. 14—29. Aniołowie podtrzymują ciało ściętego Jana, które zda się już unosić ku górze, jeden z aniołów trzyma topór męczeński, a drugi ściętą głowę.

Następnie scena Zwiastowania. W białym marmurowym portyku stoi skupiona i zdziwiona Marja, a przed nią wyniosła postać Archanioła, wymawiającego wyroczne słowa: Bądź pozdrowiona łaski pełna... poczniesz i porodzisz syna i nazwiesz imię jego Jezus... ten będzie Synem Najwyższego... a królestwa Jego nie będzie końca. (Łukasz I. 28—33). W tle obrazu przeciąga ponury pochód na Golgotę, Chrystus uginający się pod brzemieniem krzyża i grono płaczących niewiast. Górną część ściany wypełniają prorocy Ezechiel i Jeremiasz oraz greckie Sybille, a pod stropem wizja proroka Eliasza przedstawiająca obłok, jako wyobrażenie Marji.

Po przeciwnej stronie uderza nastrojowa scena pogrzebu zmarłego biskupa, którego mary podtrzymują oprócz braci klasztornych, duchy zmarłych. Wdzięczne duchy, bo to św. Odilon, świątobliwy opat z Cluny, twórca kultu zmarłych i założyciel święta umarłych, miłosierdzie głoszący za najwyższą cnotę: „Jeśli miałbym być potępionym — zwykł był mawiać — to wolę, by stało się to przez nadmiar miłosierdzia niż przez nadmiar sprawiedliwości“. Nic dziwnego więc, że duchy zmarłych hołd czynią pogrzebny swemu opiekunowi i dobrodziejowi. „O święty Odilonie — dusz zmarłych patronie, Idziemy tłumnie — my zmarli — przy twojej trumnie“.

Trzy postacie mnichów, mary dźwigających przedstawiają trzy stopnie wtajemniczenia religijnego. Pierwszy otulony kapturem jeszcze zda się nie słyszeć głosu z zaświata, drugi z pałającemi i skupionemi źrenicami pogląda ku szczęściu oderwanemu od świata tego, a trzeci kroczy już w mistycznem skupieniu i zasłuchaniu w to, co tylko duszom wybranym oglądać i słyszeć dozwolono.

Teraz z kolei wejdźmy do prezbiterjum.

Z za mensy wielkiego ołtarza spogląda ku widzowi skupiona i surowa twarz Chrystusa, dzięki czyniącego nad winem. Po obydwu stronach Chrystusa jedenastu w biel odzianych apostołów, z ciemnym cieniem zdrajcy Judasza na uboczu. Wszystkie postacie stoją i z niemą żarliwością śledzą ruchy Mistrza i Pana. Po stronie lewej nad wejściem do zakrystji pogodna scena hołdu pasterzy z Madonną adorującą Jezuska, po prawej pełna grozy i majestatu scena *Ukrzyżowania,* a raczej *triumf Chrystusa ukrzyżowanego.* U stóp krzyża po obydwu stronach stanął szereg symbolicznych postaci świętych, dających świadectwo tej niezachwianej prawdzie, że ludzkość wszystkich czasów i wieków czerpała zawsze otuchę z tego wieczystego źródła łaski, nadziei i wiary. Pochód wieków i świętości otwierają uczniowie mistrza św. Piotr i Łukasz a o-



bok nich zbolała Marja z Janem Ewangelistą a z drugiej strony stoją św. Benedykt, Franciszek z Assyżu, aż do świętych ostatniej doby Teresy z Lisieux, Jana Vianney i O. Miguela Pro, męczennika meksykańskiego.

Taka jest treść duchowa i dogmatyczna poszczególnych fragmentów polichromji katedry ormiańskiej, przemawiająca do ogółu. A jakaż ich treść i wartość artystyczna?

Założeniom dogmatycznym odpowiada sztuka nawiązująca bezpośrednio do tradycji sztuki renesansowej, ściślej mówiąc wczesno renesansowej, włoskiej. A więc jej założeniem idealizm i przeduchowiony mistycyzm, stylizujący postać ludzką do ostatnich konsekwencyj. Dlatego postacie na freskach Rosena, to nie ludzie żyjący, widywani codzień i wszędzie, ale postacie z innego, wymarzonego świata, widzianego oczyma, duchem Bożym przeniknętej duszy. Jeżeliby chodziło o artystyczne ich pokrewieństwo, to trzebaby sięgnąć do XIV lub XV wieku malarstwa włoskiego, kiedy działał natchniony Fra Angelico (Giovanni da Fiesole), Lorenzo di Credi, Sandro Botticelli, Filippino Lippi i całe generacje, których wyliczać niepodobna... Ich niezawodnym śladem podążył nasz artysta, nadając jednak swoim postaciom wybitne piętno współczesności, zwłaszcza w niezwykle wyrazistej i dominującej charakterystyce psychicznej. Mimowoli cisną się na usta tak wyroczne dla sztuki słowa Leonarda da Vinci, wyrzeczone do grona zasłuchanych uczniów w Medjolanie r. 1499.

„Nie naśladujcie tych, co przyodziewają swych bohaterów we własne kaptury a postacie biblijne — w łachmany, ujrzane gdzieś w porcie lub na statku. Bo, gdybyśmy nawet znali rzeczywiste ubiory apostołów, jeszcze nie powinniśmy naśladować ich niewolniczo — gdyż byliby to poprostu rybacy z nad Tyberjady. Owóż w apostołach zajmuje nas przedewszystkiem ich apostolat, nie zaś ich rzemiosło pierwotne i mamy obowiązek wyobrazić ich jako rybitwów ludzi, nie zaś jako rybaków ryb. Nie odziewałem nigdy inaczej mych postaci jak po leonardowsku; stwarzałem moje suknie, moje płaszcze i ich fałdy, podług mych ciał! malujcie podług tkanin cienkich i zwilżonych, i stopniowo dopiero pogrubiajcie, aby nie stracić ciała z oka!"

Czyż w tych przedziwnie przenikliwych słowach mistrza nie kryje się omal że nie kanon artystyczny, którego prawdziwości nie obaliły żadne programy estetyczne, ani zawołania przemijających upodobań lub mody. Sztuka prawdziwie religijna musi stwarzać postaci wyjęte niejako z pod praw czasu i przestrzeni tak, aby dla wszystkich wyznawców i dla wszystkich czasów i kultur mówiły jedno i to samo.

Postaci świętych cechują gesty pełne spokoju, wyrażające głębokie zamyślenie, skupienie ducha i obrzędową powagę. Niema w nich miejsca na rozterkę i namiętności. Nawet w chwilach męczeństwa wieje z nich jakiś spokój i równowaga, niepojęta dla człowieka śmiertelnego. Dlatego bez przesady powiedzieć można i należy, że mało jest dzieł sztuki kościelnej z tak głęboko wkorzenionej, poczętych wiary, jak polichromja Rosena.

Kiedy przez szyby okienne przedrze się stonowana i złocista poświata dzienna do wnętrza świątyni, wtedy zaczynają postaci świętych żyć pełnem i własnem życiem. Barwy nasycone i ciepłe zlewają się w zgodne harmonje i akordy, tu i ówdzie wsączają się w nie złociste smugi ornamentu. Pusta i cicha świątynia rozbrzmiewa wówczas hymnem, zdolnym, w najbardziej znieczulonej duszy, obudzić myśl odrywającą ją od troski dnia codziennego a rwącą się w krainy wieczności, cudu i boskości.

To cud każdemu dostępny...

Stanisław Machniewicz.

Lwów 15. VIII. 33.

Lwowskie pamiątki po królu Janie III.

Jako pan na Żółkwi i Jaworowie był Sobieski bliskim sąsiadem czerwonoruskiej stolicy *Lwowa*. W latach też czynu i wysiłku ogromnie odpowiadała mu atmosfera ruchliwego miasta, to też głośną na całą Rzeczpospolitą była zażyłość wielkiego męża z rozumnymi i obrotnymi „lwowczykami". Już przodkowie króla, Żółkiewscy i Daniłowicze, współżyli życzliwie z mieszczaństwem a ojciec, Jakób, kasztelan krakowski na t. zw. od niego do dziś „Sobieszczyźnie", u podnóża Zamkowej Góry miał swój dwór, ale, że był on daleko, jak na ówczesne czasy od miasta położony, więc w 1640 r. nabył od spadkobierców bogatego, uszlachconego kupca Konstantego Korniakta kamienicę rynkową, dziś oznaczoną 1:6. Na górze zaś „Strzelczej", gdzie w strzelaniu ćwiczyło się lwowskie mieszczaństwo, ufundował kościół i klasztor SS. Karmelitanek bosych w 1644 r. (dziś kaplica arcybiskupia i kościół seminarjum kleryków obrz. łac.). Wykończył go i ozdobił Jan III i nad portalem (głównem wejściem) tablicę umieścił, która do dziś złoconemi literami swego łacińskiego napisu wieści imiona fundatorów, a w środkowej części ściany frontowej, t. j. u szczytu facjaty, mieści herby Sobieskich i Daniłowiczów.

Król Jan miał wysokie pojęcie o wojennej ważności Lwowa, dbał o jego mury i baszty, a do dziś widnieją jego herby na arsenale miejskim (od ul. Sobieskiego), i na szczątkach warownego muru obok klasztoru Karmelitów.

Z powodu częstych i długotrwałych we Lwowie pobytów króla Jana, łączy się z tem miastem bardzo wiele wspomnień, tak z prywatnego życia jego, jak i publicznych wystąpień. Tu we Lwowie w klasztorze Benedyktynek, miał ciotkę i siostrę. Tu ufundował w 30-tą rocznicę swych urodzin dla rannych żołnierzy swych w 1659 r. szpital Bonifratrów na Łyczakowie, dziś polski szpital wojskowy, nad którego wejściem głównem widnieje herb Sobieskich, półzgięta tarcza „Janina". Lwów kochał niezmiernie „Lwa Lechistanu" i ślepo wierzył w jego genjusz wojenny. W roku grozy 1672, gdy Turcy i Tatarzy zbliżali się pod Lwów, nie szczędził Sobieski miastu rad i otuchy. A choć nie został w oblężonem mieście i pognał w pole ścigać tatarskie czambuły, to jednak posłuszni jego radom lwowianie trwali w oporze. — Gdy zaś dzięki zwycięskie-



Pomnik Jana Sobieskiego we Lwowie
odsłonięty 1898 r. — Dłuta Barącza.

mu przez niego rozbiciu czambułów tatarskich, Turcy na siłach podupadli i odstąpili od oblężenia, dla jego upamiętnienia zawiesili mieszczanie na murze zewnątrz katedralnego kościoła, od strony wielkiego ołtarza, żelazną kulę turecką, która wpadła w nocy do kościoła i utkwiła pod krucyfiksem, nie uczyniwszy żadnej szkody. Długie lata ta kula była symbolem wspartej światłą radą Sobieskiego dzielności lwowian.

W triumfie wjeżdżał do Lwowa Jan Sobieski po zwycięstwie chocimskiem, dnia 17, XII, 1673 r., bronił się jednak przed owacjami mieszczaństwa, twierdząc, że nie on, lecz Bóg zwyciężył. Z jego rozkazu zmyślnie powtykano w 1675 r. tysiące kopij husarskich na wzgórzach lesienickich, aby grożący ogromnym zalewem miasta Tatarzy myśleli, że mają z tak licznemi zastępami jazdy się spotykać. W wąwozie pod Lesienicami (a nie na polach Zniesienia, jak mylnie informuje pamiątkowy kamień na Wysokim Zamku) chorągwie polskie z brawurą pobiły pogańskiego nieprzyjaciela 24, VIII.

Widział też Lwów Sobieskiego okrytego chwałą zwycięstwa pod Żurawnem w 1676 r., przyjmował z nim posłów moskiewskich w 1686, w czasie układów o „wieczny pokój" z Moskwą i oddanie jej Kijowa i Smoleńska wzamian za pomoc w walce z Turkami. Całem sercem brało miasto udział we wszystkich zdarzeniach królewskiego życia, śledząc przebieg chorób króla i rodziny, leczonych przeważnie przez lwowskich lekarzy, do których miał król ogromne zaufanie. Obywatelem był Lwowa ten król-piast, właścicielem realności rynkowej i do dziś półokrągła nyża w salce tej „kamienicy królewskiej" na Muzeum Narodowe im. króla Jana III przez pamiętne społeczeństwo lwowskie zamienionej, świadczy o miejscu, gdzie siadywał pod baldachimem monarszym „na majestacie". Kamienica ta położona na wschodniej stronie rynku, zbudowana w renesansowym stylu w r. 1580 nazywana bywała „Korniaktowską", potem „hetmańską". Zdobią ją na murze szczytowym postaci rycerzy i piękne wejście główne. Także od strony ulicy Blacharskiej posiada ona piękny portal, zdobny herbową Janiną. Wewnątrz piękna sala gotycka, najstarsza część kamienicy, mieści zabytki kultu religijnego. Ogromna sala parterowa, dawniej winiarnia Korniaktowska, stanowi salę posiedzeń i odczytów. Muzeum to istnieje od 1908 r. i gromadzi pamiątki kulturalne i historyczne przeszłości polskiej ze szczególnem uwzględnieniem epoki Sobieskiego i zabytków ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Zawiera piękny zbiór portretów i okazów broni, dokumenty, autografy, porcelanę, szkło i biżuterję. W jednej z sal pierwszego piętra znajdują się cztery barokowe drewniane rzeźby, ocalone z królewskiego zamku żółkiewskiego.

Wielką ufność żywił Jan III w moc cudów ozdrowieńczych Domagaliczowskiego obrazu Matki Boskiej Łaskawej w katedrze, składał wota na tym obrazie, a w katedralnej zakrystji przechowują sześć lichtarzy spiżowych, ulanych z dział na Turkach zdobytych i zegar

i berło złote. Przypomina też pamięć królewską, obraz w kościele Klarysek (ul. Łyczakowska) p. t. „Wjazd Sobieskiego w mury Wiednia“.

Naprzeciw wylotu ulicy Jagiellońskiej ustawiony został w r. 1898 na wałach konny posąg króla, z bronzu ulany, dłuta Tadeusza Barącza. Na prawej ścianie postumentu w pięciu kolumnach podane są daty bitw przez króla Jana stoczonych:

Nierównie silniejszą moc przekonywującą o pieczy króla Jana III dla naszego miasta posiadają źródła pisane, pochodzące z tej epoki, zawarte w zbiorach Archiwum miasta Lwowa. Kiedyś, wyzyskane należycie, rzucą jasny snop światła na owo zrozumienie, jakie miał król Jan III dla roli dziejowej Lwowa w całości dziejów Rzeczypospolitej.

Dr. Lucja Chozewiczowa



Kopiec na górze Zamkowej, wzniesiony za inicjatywą Franciszka Smolki w 1869 r. ku upamiętnieniu trzechsetlecia Unji Lubelskiej.

IMPREZA WAKACYJNA

W skwarnych dniach sierpniowych po obszarach Polski mkną pociągi umajone, rozśpiewane. Ze Lwowa i Stanisławowa, z Gdyni i Włocławka — od srebrnych fal polskiego morza, od szczytów polskich gór — mkną do Piekar, mieściny położonej w pobliżu Bytomia i niemieckiej granicy. Diecezja lwowska śle specjalnym pociągiem swe ,,orlęta“. Na czele organizacji Ks. Sekretarz Granicki, w roli komendantek — wysoce uspołecznione panie z inteligencji kresowego grodu.

Co ściąga tak tłumnie młodzież pozaszkolną wszeregowaną w S. M. P. Jaka to atrakcja? Co za impreza? Jaki moment dziejowy zdecydował władze organizacyjne, by Piekary, tak mało znane, obrać na zlot 20.000 młodzieży?

Polska dusza narodu musi co jakiś czas przeżywać wstrząsy duchowe przybywając tłumnie do miejsc cudami słynących. Tak było w XVII wieku, gdy rycerstwo — magnaci i lud skupiali się u stóp Jasnogórskiej Pani, by krzepić ducha w chwi-

lach walk i zmagań się o lepsze jutro — o utrzymanie zagrożonej potęgi Ojczyzny.

A dziś? Czyż nie to samo się powtarza? Czyż nie czyha butny hitlerowiec? Czyż sowiecka Rosja nie grozi zalewem komunizmu, bezbożności, nędzy materjalnej i stokroć gorszej moralnej? A więc trzeba wam pokrzepienia młode Polki i wam, młodzi Polacy. Hartujcie tu w Piekarach waszego ducha! Kujcie stalowe — niezłomne charaktery! Siła i potęga Państwa ostoi się przedewszystkiem na podstawie niewzruszonej wiary, nieskazitelnych obyczajów czystych rąk, mądrych głów! Duchy młode i do dobra zapalne instynktowo czują skąd czerpać siłę, miłość prawdy i piękna.

Młodzież dzisiejsza chce być pełnowartościową, aby na swych barkach utrzymać i wznosić gmach świeżo odzyskanej Polski.

Aby być 100% obywatelem państwa polskiego, trzeba być też 100% katolikiem — nie z imienia, ale z czynu!

Ruina ducha sprowadza ruinę państwa — ciemnota umysłu zasłania horyzonty rozwoju — zanik ideałów jest drogą do poniżenia — obserwujemy to w dzisiejszej, krwią przesiąkniętej, Rosji sowieckiej.

Przeciwnie, potęga ducha to potęga państwa, mocarstwowość nasza będzie tem potężniejszą, odeprzemy tem pewniej w groźnej chwili wroga — powołamy tem więcej bohaterów i bohaterek do służby obywatelskiej im lepiej potrafimy łączyć życie z wiary z życiem *państwowo-twórczem*.

Oto myśli, któremi kierują się przywódcy potężnej organizacji, liczącej około 200.000 młodzieży żeńskiej i męskiej, Zjednoczenia Młodzieży Polskiej. Wiara w Boga, zachowywanie Jego przykazań, poszanowanie władzy, umiłowanie idei mocarstwowej Polski przenikają duszę młodzieży, każą iść w życie z zapałem i wiarą, łączyć czyny katolickie z czynami obywatelskiemi.

Młodzież potrafi dać świadectwo prawdzie, że gdzie panuje Bóg, tam musi panować poszanowanie władzy i miłość społeczna. Temi hasłami przepojone, tętniły hufce Druchen i Druhów na zjeździe w Piekarach.

Mimo kryzysu młodzież stawiła się licznie. Ministerstwo Spraw Wojskowych, ze względu na wprowadzone do S. M. P. Przysposobienie wojskowe i Wychowanie fizyczne, temuż Ministerstwu podległe, udzieliło znacznych ulg przejazdowych. Ministerstwo komunikacji dało do rozporządzenia liczne pociągi specjalne, które z fenomenalną regularnością obsługiwały Związki diecezjalne organizujące wymarsz hufców. Te hojne pociągnięcia Rządu były dowodem jego przychylności dla tego rodzaju wycieczek. Duch Króla Jana III. Sobieskiego, którego zwycięstwo tym zlotem w 250-tą rocznicę obchodzono, unosił się nad schyloną w modlitwie młodzieżą, wspominającą jak przed tymże cudownym obrazem Matki Najśw. król z rycerstwem błagał o pomoc przed wyruszeniem na odsiecz Wiednia.

Na zlocie był czas i na defiladę, także hufców żeńskich, które wcale dobrze wywiązały się z marszu przy dźwiękach licznych orkiestr.

Były też na zamiejskich boiskach sportowych zawody i ubiegania się o pierwszą nagrodę międzyzwiązkową — było sypanie kopca pamiątkowego Wyzwolenia Śląska. Młodzież przyniosła grudki ziemi z całej Polski, a zwłaszcza z miejsc związanych z życiem Sobięskiego: z Oleska, ze Lwowa, Żółkwi, Trembowli, Zbaraża, przyniosła i wodę z Bałtyku i bursztyn z nad morza. Staropolska gościnność mieszkańców Piekar zapisała się w pamięci uczestników zlotu ucząc ich bezinteresowności, objawionej w minimalnych cenach utrzymania.

Słowa przemówień przedstawicieli władz kościelnych i państwowych, oraz referatów głoszonych przez młode społeczniczki po świeżo ukończonej Szkoły Społecznej w Poznaniu — wchłaniała młodzież żądna oświaty. U stóp Matki Najśw. Piekarskiej, przy dźwiękach pieśni „Nie rzucim ziemi...", wobec widoku dumnego Bytomia i hitlerowskiej straży pogranicznej znikały różnice zapatrywań, bladły niechęci partyjne.

W tych dniach żyło się miłością, oddychało się atmosferą potężnej i twórczej idei wzrostu *Kościoła i Państwa* — taka miłość może wytwarzać momenty o silnem napięciu dodatniem i wiekopomnem znaczeniu twórczem. *Zofja Trzaska.*

MARJA WALTER-CRONECK.

Dzień chorych we Lwowie

Panna Karolina drobnym kroczkiem biegła jak codzień, na mszę do kościoła św. Marji Magdaleny. Na dziedzińcu kościelnym wyminęła ją jakaś paradna kareta ze stangretem w liberji.

— Joj, a to co za wielkie państwo na mszę św. jedzie? — pomyślała panna Karolina, i przyśpieszyła kroku.

Przy schodach wiodących do kościoła stało kilkanaście osób. Panna Karolina wcisnęła się między nie. Z karety wynoszono na rękach starą kobietę w chustce na głowie.

Panna Karolina zdziwiła się:

— Ta, cóż to takiego? Ta słyszane rzeczy, żeby bidne babki karetami jeździły?

Babce podstawiono krzesło, ostrożnie posadzono i pomalutku wnoszono do kościoła.

— Ta ona chyba sparaliżowana, czy co? Ta poco taką taskają do kościoła?

Zdumienie panny Karoliny powiększyło się, gdy przed kościół zajechało piękne granatowe auto, a w niem przyjechała jakaś pani i ubogi człowiek, wyglądający na robotnika. I on też sam nie wysiadł, ale wnoszono go za ramiona i podpierano. Teraz panna Karolina zauważyła, że te panie i panowie pomagający chorym, mieli na ramionach białe opaski z jakiemiś literami. Panna Karolina już nie wytrzymała. Trąciła w bok najbliższą sąsiadkę i zapytała półgłosem:

— Moja pani, powiedz pani co to jest?

— Ta chorych zwożą, nie widzisz pani? — odrzekła owa sąsiadka z wyższością.

— Czemużbym nie widziała, przecie mam oczy — obruszyła się panna Karolina — ale się pytam, kto to są ci z opaskami, i poco ci chorzy jadą do kościoła?

— Ta pewno, żeby się modlić, a ci z opaskato są z jakiegoś komitetu!

Pannie Karolinie to nie wystarczyło. Chciała indagować dalej, ale przerwała jej trąbka karetki pogotowia. Panna Karolina postąpiła dwa kroki naprzód i naciągnęła szyję. Sanitarjusze nieśli na noszach, bezwładną bledziutką dziewczynę. Za nimi szedł z trudem o kulach jakiś staruszek.

Panna Karolina patrząc z zaciekawieniem na nosze, postępowała ku bramie kościoła. Nosze przesuwano ostrożnie przez bramę, żeby nie potrącić chorej. Staruszek o kulach wszedł pomału do przedsionka. Panna Karolina chciała też wejść, ale wstrzymał ją kościelny.

— Dzisiaj nie można — rzékł urzędowym tonem — dzisiaj jest kościół tylko dla chorych.

Panna Karolina stanęła zdumiona:

— Ta jakto?

— A tak — odparł z powagą kościelny — dzisiaj się tylko chorych wpuszcza, nikogo więcej.

— Co to znaczy ,,nikogo"? Ja na mszę św. idę! Ja się chcę pomodlić! — wołała wojowniczo.

— Idź pani do innego kościoła i pomódl się pani gdzieindziej — mówił niewzruszony kościelny.

— Ja tu jestem parafjanką, na mszę codzień chodzę, spowiadam się w każdy pierwszy piątek w miesiącu, to mi się należy!

— Ta co pani tak krzyczysz? — Jakeś pani



— Jakeś pani taka pobożna to się nie sprzeciwiaj swojej parafjalnej władzy duchownej!

taka pobożna, to się pani nie sprzeciwiaj swojej parafjalnej władzy duchownej, co takie rozporządzenie dała.

— ???...

— A tak! — objaśniał kościelny, pewny swojej racji. — Nasz ksiądz proboszcz zrobił dzisiaj ,,Dzień chorych". I zdrowych do kościoła nie puszcza. Chorzy przystąpią do Sakramentów św. wysłuchają mszy, kazania, będą specjalne modlitwy, i błogosławieństwa nad każdym...

Przed kościołem stanęła znów ta sama kareta, co poprzednio. Wynosili z niej nowych chorych.

— A czego to tą karetą różni ludzie jeżdżą? —Zapytała panna Karolina, zapominając o osobistej obrazie.

Kościelny nie odpowiedział. Wszedł do przedsionka i wskazywał ręką, gdzie są jeszcze wolne miejsca w kościele.

Panna Karolina wślizgnęła się za nim, ale on odwrócił się i zaczął ręką machać, żeby wyszła. Wycofywał się tyłem, pilnie oglądając wnętrze kościoła. Na fotelach, krzesłach, leżakach siedzieli chorzy, poobwijani szalami i kocami. Słabsi leżeli na noszach, a nawet na otomanach. Panna Karolina stała zdumiona we drzwiach kościoła, gdy kościelny wyszedł, wziął ją za łokieć i odciągnął.

— Mówiłem, żebyś się pani do kościoła nie pchała.

— Ta ja się nie pcham, chciałam tylko spojrzeć jak tam. — Ale ja się pana pytałam, co to za kareta co tu ciągle jeździ?

— A to pobożni państwo dają swoje konie i ekwipaże do zwożenia chorych, co sami nie mogą sobie zapłacić fiakra ani taksówki. Jedna bogata pani, to sama swojem autem zwozi najbiedniejsze kaleki. — I znów kościelny musiał przerwać objaśnienia, bo nadjechali nowi chorzy.

Panna Karolina patrzyła już bez buntu na tych biedaków. Coraz więcej pojazdów zatrzymywało się przed bramą, coraz to innych wnoszono: starców drżących, bezradnych, którzy na widok oświetlonego wnętrza kościoła, wyciągali słabe ręce i uśmiechali się radośnie; ludzi w średnim wieku, o bladych wynędzniałych twarzach, usiłujących ukryć swoją niemoc przed oczami gapiów, stojących przed kościołem; dzieci z twarzyczkami zmizerowanemi i bez wyrazu dzieciństwa, o cierpiących oczach.

Panna Karolina obserwowała ich ze ściśniętem sercem, pełnem współczucia.

Każdy chory oddawał panu stojącemu na schodach, kartkę ze swojem nazwiskiem. Ten wykreślał je na długiej liście zgłoszeń.

Na prostym wozie drabiniastym wysłanym słomą zajechała chora staruszka. Zdjęto ją ostrożnie z wozu i niesiono ku bramie kościelnej. Ale okazało się, że nie była zgłoszona. Pan odbierający kartki, zawahał się, czy ją wpuścić.

— Musi być porządek — tłumaczył zakłopotany — mnie wolno wpuszczać do kościoła tylko zgłoszonych.

— Staruszka rozpłakała się bezradnie:

— Dwanaście lat w kościele nie byłam bo z łóżka nie wstaję — szlochała żałośnie — i tak się na dzisiaj cieszyłam... Nie mogłam się wcześniej zgłosić... Z daleka jestem z za Lwowa...

Pannę Karolinę ogarnął silny żal i współczucie. Biedna starowina.

— Czekajcie chwilę — obiecywał pan jak ksiądz proboszcz nadejdzie, to może was wpuści... Jeszcze suma się nie zaczęła.

— Tyle lat czekałam...

Panna Karolina znała drogę do zakrystji. Przecież cały ten kościół był dla niej jak własny dom. Pobiegła prędko na poszukiwanie proboszcza. Znalazła go i zdyszanym głosem opowiedziała o tej biedaczce, której nie chcą wpuścić.

Ksiądz udał się do bramy kościelnej, a panna Karolina zobaczyła przez uchylone boczne drzwi, że po kościele, jak po szpitalu, kręcą się między chorymi, lekarze w białych fartuchach.

— Acha, to jakby się któremu gorzej zrobiło — wyjaśniła sobie.

Wracała ciekawa, co się stało z chorą babką. Już jej nie zastała. Ksiądz kazał wpuścić. Panna Karolina poczuła w sobie wielkie zadowolenie, że i ona przyczyniła się w czemś do ulżenia chorym.

A oni napływali wciąż. Panna Karolina wzdychała żałośnie, patrząc na tyle nędzy i kalectwa. Jej sąsiadka, którą z początku zaczepiła, płakała pociągając nosem. W gromadzie widzów ktoś ciągle wyrażał swoje

współczucie na widok jakiejś większej niedoli. Pannie Karolinie nie podobało się to:

— Ta cicho pani bądź — ofuknęła jakąś litościwą paniusię — przecie on i tak dobrze wie, że nóg niema, to czego tak głośno o tem gadać.

Ale jej samej ściskało się serce i łzy stawały w oczach na widok młodego jeszcze mężczyzny bez nóg.

— A cóże to znowu takiego? — zadziwiła się jakaś inna.

Z plebanji niesiono kosze z bułkami, mleko w dużych dzbankach, salaterki z kompotem, tace z biszkoptami.

— Panie, a to co? przysunęła się panna Karolina do kościelnego.

— To śniadanie dla chorych. Przecież wszyscy będą głodni. To długo potrwa.

— Jakże jeść w kościele? ta przecie Pan Jezus w ołtarzu.

— Przenajświętszy Sakrament wyniosą tymczasem do zakrystji.

— A kto to daje to wszystko?

— Miłosierne panie. To nasz ksiądz proboszcz tak się z niemi umówił i urządził to wszystko.

— Coś takiego! — podziwiała panna Karolina. — Jak świat światem, a Lwów Lwowem, to nic takiego nie było.

— Ta co pani gadasz — rzekł z wyższością kościelny — bywa tak we Francji, a u nas we Lwowie już drugi rok tak jest.

— I będzie zawsze?

— Powinno być.

Z kościoła ozwały się organy, zadzwoniły dzwonki.

— Zaczyna się — rzekł pośpiesznie kościelny — usuń się pani, zamykam kościół, żeby nikt nie przeszkadzał.

Panna Karolina schodziła powoli ze wzgórza, na którem stoi kościół św. Marji Magdaleny. Już nie była zagniewaną, że jej dzisiaj do kościoła nie wpuścili. Słusznie. Ona może iść codzień, póki jest zdrowa i niezupełnie stara. Niechże biedaki chore, te kaleki mają choć raz w roku tę radość, że posłuchają kazania, przystąpią do sakramentów św., będą na mszy. Przecie to tak powinno być. Jak Pan Jezus chodził po świecie, to znosili do niego chorych i kaleki, a on je uzdrawiał. Minęły te czasy, Pan Jezus nie robi teraz cudów tak na codzień, ale zato może pocieszyć i dodać sił. Słusznie i dobrze, że ludzie zdrowi i szczęśliwi pomyśleli o nieszczęśliwych, że bogaci państwo są choć raz w roku na usługach chorych biedaków. To jest po Bożemu, tak Pan Jezus chciał, gdy opowiadał przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, i gdy uczył kochać bliźniego, jak siebie samego.

Panna Karolina przyspieszyła kroku, bo na wieży biła dziewiąta. Panna Karolina pracowała w szwalni.

— Joj, jak to dzisiaj inaczej dzień się zaczął — kończyła swoje rozmyślania dochodząc do bramy. — Na mszy św. nie byłam. Szkoda tylko, że nie mogłam widzieć tych uroczystości w kościele. Ta, trudno. Trzeba czekać starości i choroby, to mię też zawiozą i zobaczę.

Starość i choroba, której panna Karolina tak się bała, wydały się jej teraz mniej straszne i samotne, Panna Karolina nabrała wiary w miłość bliźniego.



Dzieci z Sokolnik pod Lwowem w odświętnych strojach czekają na procesję.

Szaraczek najmilszy Lwowa — Sokolniki

Zwyczajna to w wyglądzie swoim podmiejska, małopolska wieś, rozsiadła jako ulicówka w odległości kilku kilometrów od południowej granicy miasta, na zachód od traktu stryjskiego.

Rozbudowana w płytkiej dolinie na aluwjach Sokolnickiego potoku, wciśnięta między grube warstwy falisto ułożonych dyluwjalnych glin, dochodzących łagodnemi wyniosłościami do 341 m. — 353 m. n. p. m., należy ona z całym swym obszarem do czarnomorskiej połaci, nie przedstawia jednak pod względem krajobrazowym cech specjalnie interesujących.

W pn.-zach. części wsi, na wyżej położonych gruntach, występujące pokłady rdzawo-brunatnego trawertynu, w południowej zaś, w pobliżu t. zw. Dworu, na Grobli i pod Horbem nagromadzone piaski, iły i miękkie litotamniowe wapienie, — nie przydają malowniczych form. Niewielkie, grobelkami od siebie oddzielone stawiska, rojące się letnią porą od komarów mokradła i „kwaśne" łąki zaścielające dno sokolnickiej doliny, — wspólne są otaczającym wieś — gminom.

Pięknej leśnej oprawy, która silnym akcentem bujnie rozrośniętych dębów, jesionów i olch nadawała niegdyś pokrytym haszczami ostępom swoiste piętno tajemniczej puszczy, brak dziś zupełnie. Dawne, jeszcze przed stu laty istniejące skupienia drzew liściastych, jak: Dembina, Brzezina i Olchowy Zapust, znikły doszczętnie. Ogół gruntów tak do potrzeb małej własności przystosowano, że na całkowitym obszarze gminy, na 3790 M. ziemi, około 3470 M. zajmują role, 113 M. — pastwiska, 89 M. — łąki, 90 M. — nieużytki, a tylko 8 M. zatem 0.21% powierzchni całej, stanowią lasy.

Zanikły również w ośmdziesięciu prawie procentach dawne, ciekawe i piękne etnograficzne właściwości Sokolnik. Nowe, przeważnie obojętne w swej formie chaty, nie ożywiają przeciętnych rysów współczesnego oblicza wsi.

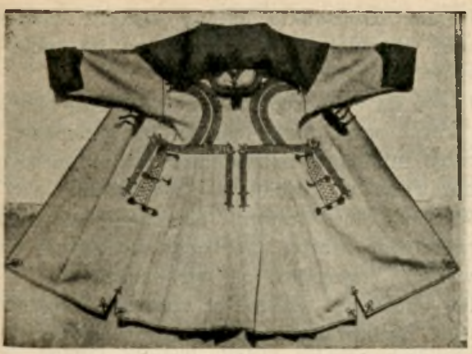
Mimo to, ze wszystkich pobliskich osiedli, szaraczek sokolnicki najżywszą u Lwowian cieszy się sympatją. Wysoko ceniony przez miejskie gosposie jako główny i niezawodny dostawca wybornego, świeżego nabiału, — zasługuje na głębszy sentyment polskiego Lwowa z innych również względów.

Charakterystyczne w swej nazwie Sokolniki posiadają inne jeszcze walory: tradycję historyczną, jasno skrystalizowane narodowe uświadomienie, oraz dzielne, ofiarne. dla Rzeczypospolitej zawsze wiernie bijące, uczciwe, chłopskie serce.

Tradycja historyczna Sokolnik, Jagiełłowych sięga czasów. Nie mamy dzisiaj oryginalnych dokumentów lokacyjnych, odnoszących się do genezy tej wsi. Zaginęły one wraz z innemi w zawierusze późniejszych wieków. Czego zaś nie zniszczył przypadek, spaliła przed piętnastu laty mściwa ręka wroga.



Ze starych kopij i zachowanych zapisków archiwalnych wynika, że u schyłku XIV wieku, gdy po przejęciu tych ziem przez królowę Jadwigę z rąk gospodarzy węgierskich, otwarły się dla Polski możliwości ponownego rozwinięcia dawniej już zapoczątkowanej osadniczo-kulturalnej misji, — kiedy w najbliższym promieniu nowego, Kazimierzowego Lwowa, poczęto



Opończa ozdobiona haftem romańskim.

tworzyć na prawie niemieckiem szeregi wiejskich gmin, — wtedy właśnie powstały Sokolniki.

W 1397 roku, na mocy przywileju wydanego w Czajkowicach przez wojewodę sandomierskiego i wielkorządcę Rusi — Jaśka z Tarnowa, sprytny i zapobiegliwy Mikołaj z Miśni, ustanowiony został w królewskich Sokolnikach pierwszym, dziedzicznym sołtysem. Obowiązany był do odprawiania na terytorjum „rzeczonej wsi" cywilnego i karnego sądownictwa. Musiał zakładać stawy, budować młyny i jawić się na każdą wojenną wyprawę z łucznikiem konnym, na koniu wartości czterech grzywien.

Nadania sokolnickie potwierdzone przez Jagiełłę, rozszerzone w czasach Warneńczyka i Zygmunta III tworzyły z wsi wcale zasobną osadę.

Lustracje królewszczyzn ziemi lwowskiej z roku 1564/5, opisują Sokolniki jako wieś dużą, posiadającą około 41 frankońskich łanów. Gmina liczyła wtedy 52 osiadłych kmieci a roczna jej intrata (po strąceniu $1/6$ należnej wójtowi) wynosiła: w pieniądzach — 51 złotych 25 groszy, w naturze — 77 kłód i 3 korce owsa, oraz taką ilość kur, jaka równała się wartości 33 zł. 20 gr. i 9 denarom.

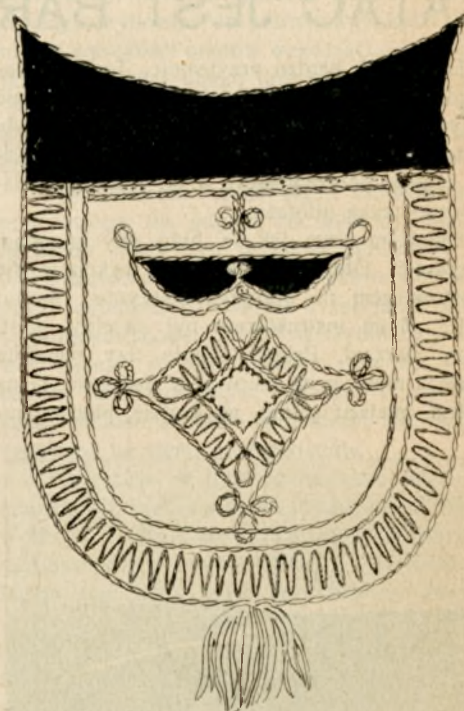
—Kmieć sokolnicki obowiązany był ponadto przywieźć raz w roku do zamku niskiego, siedziby grodzkiego starosty po dwa wozy drewna z każdego $1/2$ łana i miał odrobić na skniławskim folwarku 16 dni darmo, — jednakże, w stosunku do świadczeń innych wsi, było to stanowisko uprzywilejowane, wyjątkowe.

W XVIII i XIX wieku warunki się zmieniły. Wieś przeszła w ręce prywatne. Z godności swej jednak nic nie utraciła. Przetrwała zwycięsko germanizacyjną, józefińską epokę wolna od obcych nalotów.

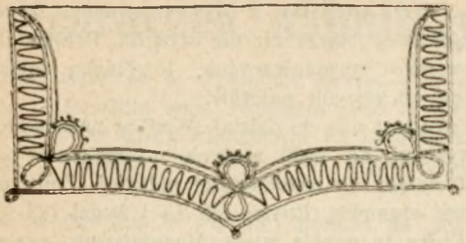
Taką jest ona do dzisiaj. Według najnowszej statystyki na 3930 stałych mieszkańców — 3870 należy do narodowości polskiej. Znikomą resztę stanowią Rusini (38 l.) i Żydzi (22 l.). — Cyfry te mówią wiele. Mocniejszym jeszcze głosem, bo gestem bohaterskim przemawia w tej kwestji, inny fakt.

11. litopada 1918 roku, kiedy z oparów dogasającej światowej wojny, budziła się do życia tylu ofiarami okupiona i wywalczona Rzeczpospolita, najechał znienacka na Sokolniki zły sąsiad i podstępnie od gminy zażądał przysięgi. Wierni dawnej tradycji, oparli się Sokolniczanie, a chociaż silny głos narodowego poczucia, pociągnął za sobą męczeńską śmierć księdza proboszcza, wójta, kierownika szkoły[1])

[1]) Ks. Wincenty Czyżewski, naczelnik gminy Jakób Hubicz, kierownik szkoły Marjan Gerstman.



Kaptur opończy sokolnickiej.
Rys. Koło krajoznawcze gim. SS. Urszulanek we Lwowie.



Kieszeń opończy sokolnickiej.
Rys. wykon. Koło Krajozn. gim. SS. Urszulanek we Lwowie.

oraz wymordowanie 59 włościan (w tem kilka kobiet), chociaż tej strasznej chwili towarzyszył rabunek mienia pozostałych rodzin i spalenie całej prawie osady, — Sokolniki nie zaparły się swej przynależności. Pozostały tem, czem były od wieków, — polską zaiste wsią.

Dumne królewskie chłopy złożyły wskrzeszonej Ojczyźnie u progu nowego jej życia — swe dobre, wierne serce.

I tego im w Polsce nikt nie zapomni, choćby się krzyż pamiątkowy zatracił przy drodze, — choćby tablica z nazwiskami pomordowanych wmurowana w kościele — zniszczała.

Wybaczy im etnograf porzucenie dawnego oryginalnego stroju, przebaczy zatracenie ciekawszych zwyczajowych odrębności.

Bo chociażby zabrakło zczasem ostatnich nawet dochowanych zabytkowo śladów, — owych pięknie kutych skrzyń i ślicznej w kroju, białej, romańskim ornamentem zdobionej opończy, — to serce polskie w tych ludziach zostanie.

Lwów bardzo kocha swego szaraczka, — polską ma bowiem on duszę.

Dr. Marja Jarosiewiczówna

„LATAĆ JEST BARDZO PRZYJEMNIE..."

Latać jest bardzo przyjemnie. To może potwierdzić wiele osób. Ale latać samej, prowadzić maszynę i widzieć, że ona słucha to daje tyle zadowolenia i tyle przyjemności, że warto dlatego samego przezwyciężyć wiele trudności związanych z nauką pilotażu.

Opowiem wam jak to było gdy zaczęłam się szkolić. Otóż pierwsze loty wykonuje się z instruktorem na szkolnej maszynie Henriot XXVIII. Moim instruktorem był świetny pilot, starszy sierżant, Pakuła. Około trzy tygodnie latałam z nim, on na pierwszem siedzeniu, ja na drugiem miejscu pilota, na krótkie, pięciominutowe loty, ażeby nauczyć się lądować i startować. Pewnego dnia p. Pakuła wysiadł z maszyny i powiedział do mnie:

— Teraz poleci pani sama, ale proszę się tem nie przejmować i robić wszystko tak samo jak ze mną.



Dał znak ręką do startu, pociągnęłam rączką od gazu i za chwilę znalazłam się w powietrzu. Przyznaję, że czułam się trochę nieswojo, brak mi było przed sobą szerokich, ufność budzących pleców instruktora i dręczyła mnie uporczywa myśl: czy też potrafię sama wylądować? Na 200 metrach trzeba było zrobić wiraż. Zrobiłam odpowiedni ruch drążnikiem sterowym i, o dziwo, maszyna usłuchała, pochyliła się i zaczęła kręcić w lewo. Nie macie pojęcia jaka to przyjemność! Zrobiłam jeszcze takie 2 wiraże, sama, całkiem sama, w powietrzu, a wszyscy ludzie byli tak daleko, tak mało mnie obchodzili — i wylądowałam. Poleciałam jeszcze 2 razy, a potem, gdy zatrzymałam maszynę na starcie, podszedł do mnie instruktor oraz paru obecnych kolegów i gratulowali mi „wylaszowania".

Potem marzyłam długo, cały rok, o tem, by polecieć dalej, wylądować na obcem lotnisku. Ale na szkolnej maszynie nie można było o tem ma-

rzyć. Dopiero gdy Aeroklub Lwowski zakupił samolot turystyczny RWD 4 (starsza siostrzyczka RWD 5, na której kpt. Skarżyński przeleciał do Ameryki), marzenie moje zrealizowało się, latałam na przeloty do Warszawy, do Sandomierza, na uroczystość otwarcia lądowiska. Niedługo potem uczynił mi śp. płk. Jasiński nęcącą propozycję: Raid dookoła Polski! Raid miał na celu propagandę lotnictwa sportowego, miał pokazać ogółowi społeczeństwa, że latanie nie jest czemś tak strasznie groźnem i niebezpiecznem, a lotnik nie jest bohaterem, którego życie jedynie Homer godzien byłby opisać. Więc przez dziesięć dni odwiedzałyśmy z p. Olszewską w dwie maszyny po parę lotnisk dziennie, wszędzie serdecznie przyjmowane i goszczone. Wrażeń niezapomnianych wyniosłyśmy wiele: od ozłoconych słońcem śnieżnych szczytów Karpat, do deszczu i mgły nad rozlaną szeroką Prypecią o zalesionych płaskich brzegach; od niewygód przymusowego lądowania w drodze do Warszawy, do przemiłego czystego pokoju z własnem łóżkiem i, o rozkoszy, z własną łazienką w hotelu Polonja. Ale to już zaczyna powlekać mgła zapomnienia, bo to było 2 lata temu. Teraz we wrześniu weźmiemy obie z p. Olszewską udział w 5 Konkursie Krajowym Samolotów Turystycznych, który ma częściowo znaczenie eliminacyjne przed Challenge'em w roku 1934. Konkurs ten ma wybrać asów naszego lotnictwa sportowego, by bronili imienia Polski zagranicą, tak zaszczytnie zapisanego dzięki zwycięstwu kpt. Żwirki i Wigury.

Drugą gałęzią lotnictwa sportowego, zajmującą dziś wybitne miejsce w świecie jest szybownictwo. W Polsce rozwija się w szybkiem tempie. Cztery lata temu p. inż. Grzeszczyk, konstruktor i sławny pilot, próbował pierwszy szybowiec (samolot bez motoru) konstrukcji p. inż. Czerwińskiego i ustanowił pierwszy rekord długotrwałości lotu wynoszący 4 min. i 53 sek. Dzisiejsze szybownictwo polskie stoi na jednem z czołowych miejsc w świecie i liczy pilotów szybowcowych na setki. A najważniejsze, że sukces swój osiągnęliśmy na własnym taborze, konstrukcji własnych inżynierów, jak pp. Grzeszczyk, Czerwieński, Kocjan i inni pod kierunkiem własnych instruktorów, którzy sami zdobywali doświadczenia potrzebne do szkolenia innych.

Latać na szybowcach można albo w terenie górskim, gdzie wyzyskuje się siłę wiatru prosto-



padłego do zbocza, a właściwie jego składową pionową do góry. Albo też wyzyskuje się prądy termiczne, powstałe wskutek nagrzania ziemi promieniami słonecznemi, lub też i w górach i w terenie płaskim można żaglować pod chmurami, cumulusami, temi białemi chmurkami, tak często widzianemi w ładny słoneczny dzień około południa na niebieskiem niebie.

W górach start odbywa się bardzo podobnie do wyrzucenia kamienia z procy, bo do przodu szybowca jest zaczepiona lina gumowa, naciągana przez ludzi. W terenie płaskim samolot motorowy wyciąga szybowiec do pewnej wysokości, zależnie od wysokości prądów wznoszących pod chmurami. I po odczepieniu liny łączącej go z samolotem, szybowiec zaczyna wyzyskiwać prądy wstępujące. Można osiągnąć w ten sposób znaczną wysokość.

Szybownictwo różni się i tem od latania motorowego, że gdy na początku szkolenia lub na każdy nowy typ maszyny motorowej pilot leci z instruktorem, tu zdany jest na własne siły' gdyż szybowce przeważnie a specjalnie szkolne są jednomiejscowe. Na lot na szybowcu potrzeba więc zabrać ze sobą pokaźną dozę rad i wskazówek doświadczonych pilotów i kierownika kursu. W locie po kolei sprawdzają się wszystkie usłyszane na ziemi przepowiednie.

Tego roku w lipcu ukończyłam kurs lotów holowanych nad terenami płaskiemi na lotnisku w Skniłowie. Kurs ten prowadził kierownik szkoły szybowcowej w Bezmiechowej p. Łopatniuk. Na kursie tym padło parę rekordów: p. Mynarski ustanowił rekord długotrwałości lotu wynoszący 5 godzin 45 min. (Rekord długotrwałości lotu wynoszący 10 g. 40 min. w terenie górskim posiada p. Baranowski) i rekord długości przelotu wynoszący 84 km.

Opowiem wam o wrażeniach z mojego lotu trwającego 3 godz. 38 min., zaliczonego jako re-

kord kobiecy. Wystartowałam za samolotem RWD 8 pilotowanym przez naszego kolegę pilota p. Szarka na szybowcu typu Komar. Samolot wyholował mnie na 1200 m. i pod jedną chmurką, która z wyglądu dość mi się spodobała odczepiłam się. Samolot odleciał w innym kierunku. Nagle bez żadnego przejścia ogarnęła szybowiec cisza i bezmierny spokój. Można było zdjąć z oczu okulary, gdyż mała szybkość szybowca pozwala na to. Chmurka niezawiodła moich nadziei, bo variometr, t. j. przyrząd pokazujący wznoszenie, zaczął iść do góry i pokazywał 1 m/sek. wznoszenia. W ten sposób uzyskałam 1500 m. wysokości. Niestety chmurka skończyła się i zaczęło się opadanie. Wędrując w ten sposób w poszukiwaniu drugiej dobroczynnej niosącej chmurki znalazłam się w okolicach Janowa na wysokości 700 m. Dużo więc straciłam. Na szczęście natrafiłam na większą gromadę cumulusów, dzięki którym znowu uzyskałam 1500 m. nie więcej, bo na tej wysokości była podstawa chmur, a wchodzić w chmury bez odpowiednich przyrządów jest niebezpiecznie. Zimno było strasznie. Do lotu ubrałam się bardzo lekko tak, że ciszę, jaką się spotyka tylko na spokojnem morzu, zdala od brzegów, zakłócała muzyka moich szczękających zębów. Miałam także towarzysza w postaci jakiegoś ptaka, który robił nademną takie same wiraże jak ja i mimo że moje skrzydla były wiele dłuższe nie okazywał ani zdziwienia ani przestrachu. Będąc w okolicy Gródka Jagiellońskiego zobaczyłam, że chmurek dobroczynnych jest już coraz mniej z powodu późnego popołudnia więc trzeba było wracać na lotnisko doskonale widoczne z tej wysokości.

Naprawdę ogromnie dużo przyjemności daje taki lot w ciszy pod chmurami.

Danuta Sikorzanka.

Międzynarodowe wyścigi okrężne

9 czerwca rozległ się w Lwim grodzie potężny ryk i trwał dni trzy. Nie wyły jednak ani legendarne lwy, ani malowany lew na herbie miasta, ani kamienne lwy przed ratuszem. Słychać było częstokroć trąbienie, ale nie była to pobudka. Nie był to też koniec świata, bo chociaż trąbiono od świtu przy stryjskim cmentarzu, żaden nieboszczyk nie powstał z grobu. Różni ludzie twierdzili, że ci zmarli ogłuchli, albo zapomnieli o apokalipsie. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż jedna bardzo dobra i bogobojna niewiasta mieszkająca przy ulicy Kadeckiej, zbudzona owym głosem straszliwym, wyskoczyła z łóżka i zawołała: „O mój Boże! trąby Archanioła!“ Poczem otworzyła okno i jęła ciskać wszystkiem co miała pod ręką na przejeżdżające auta. Widocznie chciała spełnić jeszcze jeden dobry uczynek przed sądem ostatecznym, rozdając swoje mienie między bliźnich. Policjant jednak wkrótce powstrzymał jej szlachetny zapał, a za pobożną omyłkę kazał jej zapłacić karę.



Zresztą każdy przeciętny człowiek powiedziałby, że przyczyną hałasu są wyścigi automobilowe. Olbrzymie afisze krzyczały „Grand Prix Lwów“. Nazwiska kierowców były na ustach wszystkich; wspominano Caracciolę, (zwycięzcę zeszłorocznego wyścigu.) Nawet taksówki gadały tylko o tem powtarzając nazwisko kochanego Jasia Rrrripperrr Ach! te poczciwe taksówki całkiem oszalały. Każdej się zdawało, że jest maszyną wyścigową. Zataczały się, jeździły zygzakiem, rżały, prychały, trąbiły, rozbijały latarnie. Nie trzeba się śmiać z tych biednych aut, one chciały się wznieść ponad szarzyznę życia, wyżej i wyżej . . . aż nad Kadecką. Zresztą szalał cały Lwów. Trzeba było widzieć, jak stateczni Lwowianie gonili tłumnie rano o 4-tej na trasę. Płakało niebo nad nimi, ale nie mogło ostudzić ich zapału. Byli tam wszyscy, każdy dzierżył parasol, a tylko nieliczni ściskali stoper w garści, wszyscy mieli usta pełne precli i serca pełne miłości i uwielbienia dla szlachetnego sportu automobilowego. Przecież byli tu na jednej z najpiękniejszych tras Europy, której tylko Monte Carlo

dorównywa. Więc przyszli tu wszyscy, cały Lwów. Wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy mieszkają przy samej trasie; ci śpią z watą w uszach i klną wyścigi.

Wreszcie po dwóch dniach trenningu nastał dzień wyścigów. Rano o godzinie 11 zamknięto ulice otaczające trasę. Zapaleni miłośnicy sportu bez biletów już przedtem przybyli, by czekać do godziny drugiej na początek wyścigów. Pochowali się w bramach, na dachach, na pobliskim kominie fabrycznym i na drzewach w parku Stryjskim. Lwów wyglądał, jak owe miasta średniowieczne podczas misterjów, kiedy wszyscy porzucali wszystko, by brać w nich udział i całe życie zamierało, tak i teraz opustoszały ulice Lwowa, kto żyw szedł na wyścigi.

O 2-ej przybywa publiczność z biletami!! Przejeżdża defilada motocyklów. Wszyscy oczekują auta komandora. Już jedzie... słychać... nie, to auto zakładu czyszczenia miasta, jedzie z sikawką oblewać miłośników sportu z parku stryjskiego. Jedzie oblewać O! ale nie obleje... zbliża się „miłośnicy" zmykają, auto odjeżdża „miłośnicy" zajmują zpowrotem swe miejsca. Niefortunny Zakład czyszczenia miasta musi się ze wstydem wycofać.

Chorągiewka czerwona! Auto komandora. — Wystrzał. Pomknęły wozy.

Kategorja powyżej 1·5.1.

Pierwszy Björnstadt (Norwegja), Wiedengreen (Szwecja), Balestrero (Włochy), Kubicek (Czechy), Nadu (Rumunja).

Kategorja poniżej 1·5.1.

Wystrzał.

Veyron (Francja), Burgaller (Niemcy), Landi (Włochy), Rusch (Szwajcarja), Mmll Itier (Belgja).

Trzynaste okrążenie.

Ripper (Polska) dokazuje cudów, najlepszy czas 2:14:6! Brawo! Jaś! Jaś! Duś! Duś! Gazu! Bierze Itier! Hurra Jaś!

17 okrążenie.

Björnstadt mknie, latają mu poły brązowego płaszcza. Hurra! Wyrównuje rekord Carraccioli. Jedno okrążenie w czasie 2·02.

Tymczasem odpada Moraud (Francja) a w 6 okrążeniu później Wustrow (Austrja).

Dwudzieste dziewiąte okrążenie, Nadu ma defekt, od tego czasu pozostaje w tyle. Tymczasem Wiedengreen zbliża się bardzo do Björnstadta. Björnstadt duś! duś! Nie daj się! Gazu!



33 okrążenie. Wiedengreen bierze Norwega tuż przed samemi trybunami. Björnstadt pozostaje coraz bardziej wtyle. Hańba! Gazuj! Jakże tak można! Nie daj się! Oho! Już go nie weźmie!

35 okrążenie.

Koźmianowa (Polska) ma defekt. Wszyscy myśleli, że odpadnie. Jednak zdecydowała się jechać dalej. Nie tak jak hr. Orsini (Włochy), która się zaraz wycofała po defekcie. Odpada Kubicek. Później zapala się motor sympatycznemu Ebb'owi (Finlandja, na maszynie Mercedes-Benz) ustępuje.

76 okrążenie.

Björnstadt, Ballestrero... Gdzież Wiedengreen. Co mu się stało? Czemu nie prowadzi? Tak dzielnie jechał!

77 okrążenie. — Niema go.

78 okrążenie.

Björnstadt, Ballestrero... ach! wreszcie Wiedengreen. Duś! Duś! Gazu! Stracił dwa okrążenia a już blisko końca! Nie dogoni. Stracił 5 minut czasu!

95 okrążenie.

Ballestrero tankuje przed trybunami. Hurra! Wiedengreen mija go. Zostaje mu jeszcze jedno okrążenie do końca. Włoch jednak tankuje w sposób błyskawiczny i nabiera benzyny w przeciągu 50 sek. W następnem okrążeniu tankuje poraz drugi ale nie daje się złapać Wiedengreen'owi.

100 okrążenie — ostatnie.

Pierwszy Björnstadt — Na maszt zostaje wyciągnięta flaga Norwegji, czerwona z niebieskim krzyżem, orkiestra gra hymn norweski.

Drugi przybywa do mety Ballestrero, trzeci Wiedengreen.

Megafon ogłasza szczegółowe wyniki.



Olesko — Zamek, brama wjazdowa.



Podhorce — Zamek.

DO OLESKA I PODHORZEC!

SZLAKIEM WIELKIEGO KRÓLA!

Prostą furmanką chłopską, dostajemy się do Oleska. Zamek leży na wzgórzu, ciężki, szary piękny a groźny.

Wchodzimy na dziedziniec, brukowany dużemi płytami kamiennemi. Lekki wietrzyk, przynosi jakby daleki odgłos kopyt, to jakby szczęk zbroi. Odczułyśmy ten wiew przeszłości, echo wsiąkłe w szary głaz.

Z bocznych drzwi wychodzi panienka w białym fartuszku i czepeczku, uczennica szkoły gospodarczej, mieszczącej się dziś w zamku, ona będzie służyć za przewodnika. W suterenach w dawnych komnatach dworzan mieszczą się kuchnie. Szerokie sklepienie, okna z wnękami, stary piec, zdają się płakać, nie mogą zrozumieć nowych towarzyszy — kuchni kaflowej, jakichś dziwacznych narzędzi tortur, garnków hermetycznych. Dawniej inaczej tu było, przy blasku szczap smolnych kobiety i dziewczęta opowiadały gadki. Ileż takich baśni mogłyby powtórzyć! ileż zdradzić tajemnic! Ale komu to mówić! oni nie rozumieją! Te okna widziały jak małe chłopię uczyło się powodować konikiem, aby potem zostać wielkim husarzem, jak na ostach próbowało swej szabelki, zaprawiając się na wodza-pogromcę.

Raz gdy po kilkudziesięciu latach wróciło tu chłopię, rycerz sławny, hetman i gdy spuszczono odwieczny most zwodzony, to on tak się rozrzewnił ze szczęścia, że załamał się. Rycerza wyniósł dzielny rumak i wierni żołnierze.

Na pierwszem piętrze sale przyjęć, pokoje matki króla Sobieskiego i jej fraucymeru. Sale — puste, ciche, odrapane. Kominki zamurowane, stiuki i posążki połamane, dziwnie, że w sali, w której urodził się Jan III zachował się doskonale paw nad kominkiem. Na drugie piętro nie wolno wchodzić. Wszystko w gruzach. Dziś odnawiają zamek podług dawnych opisów i starych rycin.

Zamek w Olesku był w XIV w. fortalitum ruskiem. W r. 1432 Jagiełło oddał go Janowi z Sienna; jako wiano przeszedł on do rodziny Herburtów i Kamienieckich, a w XVI w. do Daniłłowiczów i Żółkiewskich. Z początkiem XVII w. całość przeszła do rodziny Daniłłowiczów przez zamążpójście Zofji Żółkiewskiej, babki króla Jana III. W ten sposób zamek w Olesku doszedł do Sobieskich.

1-go sierpnia 1629 przyszedł w nim na świat Jan III.

Po wymarciu Daniłłowiczów zamek opustoszał i podupadł. Dopiero Marja Kazimiera odnowiła go i uczyniła piękną rezydencję w stylu barokowym. W 1725 r. został nabyty od Królewicza przez Rzewuskich. W 1796 przechodzi do Zielińskich, potem do Lityńskich aż w 1883 r. zostaje nabyty przez Galicję i odrestaurowany.

W czasie wojny światowej zniszczono doszczętnie ten piękny zabytek i dopiero teraz wznowiono prace restauracyjne.

Podhorce! w perspektywie pysznej alei grabowej biały pałac; zieleń okąpana wczorajszym deszczem lśni się i migoce w słońcu; dookoła park szumi staremi drzewami.

Tuż przed murem jawory, ulubione drzewo Jana III. Ławeczki i stoliczki kamienne. Rzeźbione amorki strzegą, by zaborcze trawniki nie zarosły ścieżek.

Przed nami wielka brama ozdobiona herbami Rzewuskich i mur ze strażniczkami na rogach. Wokół murów rów. W głębi widać fasadę pałacu. Przekraczamy historyczne odrzwia i jesteśmy na dość dużym dziedzińcu brukowanym — na prawo studnia z kołem. Dawniej obracał je niedźwiedź. Czy może być co przyjemniejszego dla 8 klasistki jak zabawić się w mądre i zgrabne zwierzątko!? 5 subtel-

nych istot wreszcie zdołało poruszyć koło. Zmęczone zaczynamy oglądać.

W bramie umieszczono zegar a raczej maszynerję dawnego zegara z napisem: *„Kiedy Jan III zwyciężał Turków pod Wiedniem zegar ten wybijał na zamku godziny chwały“*.

Wielkiemi schodami wstępujemy na pierwsze piętro. Półokrągłe skrzydło, na podłodze stoją działka zardzewiałe, jedne drzwi prowadzą na mur do strażniczek, drugie do dalszych komnat. Idziemy przez nie. Sala przyjęć, dawniej wisiały tu zbroje, stało pyszne karło królewskie; rojno i wesoło czasem strasznie tu było. Wszędzie portale z czarnego marmuru, takież kominki i olbrzymie gdańskie piece, białe z niebieskiemi herbami stoją na nóżkach dziwnie cienkich. Sufity kasetonowe z malowanemi na płótnie scenami z mitologji i biblji. Obecny właściciel ks. Sanguszko odnawia pałac. Będą sprowadzone dawne sprzęty i we wrześniu ma być otwarte pierwsze piętro. W sali zwierciadlanej (bez zwierciadeł, bo je zniszczyli bolszewicy), zachowały się tylko pająki. W sypialni królowej, ściany pokryte piękną mozaiką marmurową.

Pokój narożny z wejściem do strażniczki, skąd roztacza się widok na pola podhoreckie.

Stały teraz w ciszy zalane słońcem, ścieląc się pokornie do stóp zamku. Raz szła fala srebra, to znowu fioletu, kołysanego wietrzykiem żyta. Wdali złocił się łan gorczycy — a hen, hen, siniało pasmo wzgórz; piękne nasze pola! Czy dusza francuski potrafiła odczuć wasze piękno?

Kaplica jest stosunkowo mała, z czerwonego marmuru z czarnemi portalami. Śliczna jest tablica z białego marmuru ku pamięci ks. Sanguszki, ojca dzisiejszego właściciela.

Zamek w Podhorcach wzniósł hetman Koniecpolski między 1635 a 1670 r., w stylu późnego renesansu. Jako „miejsce uciech i odpoczynku“ został on wspaniale urządzony. W 1682 r. przeszedł do Sobieskich drogą darowizny. Od Sobieskich odkupili go Rzewuscy w 1720 r. Specjalnie Wacław położył duże zasługi przy odnowieniu zamku i gromadzeniu pamiątek po Sobieskim. Rosjanie zniszczyli i ograbili zamek po wywiezieniu Wacława, ale w 1865 kupili go Sanguszkowie i przywrócili do dawnej świetności, nadając mu charakter muzeum zabytków i pamiątek. W czasie najazdu bolszewickiego zamek ucierpiał bardzo. Dużo rzeczy wywieziono, Dziś Sanguszkowie odnawiają go i, mimo ciężkich warunków materjalnych dążą do przywrócenia mu dawnej postaci.



Lwów. Kaplica Boimów wystawiona w latach 1609—1617.

OBROŃCOM LWOWA

Przystań, przechodniu — tutaj cmentarz blisko
bez kolumnady rozpłakanych bogów
i bez pomników — czasem bez nazwiska,
w zieleń się patrzą blade oczy grobów.
Tutaj pod darnią zasnęli — kto oni?
pytasz i oczy obracasz ciekawie —
czy pośród laurów upadli i broni —
czy zgonem swoim dank złożyli Sławie?
Czas ich imiona w złotych rył tablicach,
w dłonie pomników zczarował kamienne,
tłum w szale strącał – miłością rozkwitał
raz byli jaśni — czasem znowu ciemni?
Tutaj odpowiem – nie sławy rycerze
i nie heroldzi zagubionych haseł —
tu zastęp innych bohaterów leży —
tych, którzy płoną sami – nie palą, nie gaszą.

Dziecięta jeszcze – a już w dłoni małej
unieśli ciężar większy niźli głazy!
broń, która mocy większej i zuchwałej
Zadała ciosy, które tną i karzą.
I czy to Sławy rozkaz — nie pytali
czy innych bogów z olimpijskich szczytów
i szli z prostotą na śmierć — tacy mali
Chłopcy — herosi z legendarnych mitów!
Przystań, przechodniu — i powiedz Ojczyźnie
jak ule rojnej, kwitnącej lipami:
„Abyśmy przy Tobie byli, Polsko — czas to wyzna!
i Ty myśl o nas zawsze – nie chcemy być sami!”

W. Paszkowska
VIII kl. Gimnazjum SS. Urszulanek
we Lwowie.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

S. O. S.

„RATUJCIE DUSZE NASZE"!

(Ciąg dalszy).

To było przeznaczenie... Ja wiem, wy oboje jesteście tacy materjaliści... Nie wierzycie w miłość fatalną, miłość przeznaczoną... A jednak ona jest... Byłam niedawno na jednym filmie, gdzie także...

— Do rzeczy, do rzeczy... niecierpliwił się Tomasz, — więc otrzymałaś jego ofertę i co dalej?

Umówiliśmy się, że się spotkamy w cukierni i poznamy po fiołkach... (Mam moje fiołki zasuszone dotąd, a on także, napewno,..) no i... poczuliśmy odrazu, że jesteśmy stworzeni dla siebie...

— Chcę go poznać jak najprędzej, przyprowadź mi go jutro do studjo... — decydował Tomasz: — Z twoim rozumem moja biedna Koto jest, niestety, znacznie gorzej, niż przypuszczałem...

Krótka wizyta „narzeczonego" Koty, mająca miejsce zaraz następnego dnia nie uspokoiła bynajmniej tych obaw Tomasza. Wprawdzie młody człowiek przedstawił się wcale przyzwoicie, znać było na nim odebrane w dzieciństwie staranne wychowanie, pewien nalot kultury, nie dający się niczem zatrzeć, oczy inteligentne, niewątpliwe oczytanie i wykształcenie techniczne, — a jednak... Tomasz miał szereg zastrzeżeń. Budziło je coś nieuchwytnego, coś, czego nie umiał sam sprecyzować, lecz co nakazywało mu mieć się na baczności.

..Mógłby być czemś znacznie lepszem niż jest, — określił to wrażenie w rozmowie z Jadzią, — jest w nim coś sponiewieranego, coś co opada w dół... Toby dowodziło braku charakteru... A wiesz chyba, że brak charakteru jest najbardziej beznadziejną wadą ze wszystkich, jakie mogą tkwić w człowieku... Nie wierzę w to kurjerkowe małżeństwo, niczem zresztą ten pan nie wywyraził przedemną swej rzekomo gorącej chęci poślubienia Koty, gdyby jednak do tego, Boże broń doszło, nic dobrego nie mogłoby wyniknąć z połączenia takich dwóch „bezcharakterów". — Z czego wnosisz, że on jest właśnie taki? zapytała Jadzia. Choć brat był dla niej wyrocznią, wolałaby żeby się tym razem mylił.

— Z głosu, — odparł Radnowski bez wahania. — Nie zapominaj moja droga, że po całych dniach obcuję tylko z głosami, nie widząc żywego człowieka, — że mam setki znajomych, o których nie mam pojęcia jak wyglądają, lecz których poznam wszędzie po głosie... Nauczyłem się wskutek tego oceniać charaktery ludzi i usposobienia po głosie i doszłem w tem, zapewniam cię, do pierwszorzędnej wprawy... Głosem nie oszuka mnie nikt... Otóż w głosie „lubego" Koty, jest jakaś chwiejność, jakiś fałsz, które mi się mocno nie podobają.

— Możesz się czasem mylić, biorąc n. p. za fałsz to, co jest może tylko nieśmiałością?

— Daj Boże, abym się mylił! Na razie dobre i to, że ta historja stała się jawną, że możemy go widywać i obserwować...

— Będziesz go rewizytował?

— Naturalnie! W przepisowym czasie i przepisowym stroju. Z mojej strony nie zaniedbam niczego, coby mi mogło ułatwić poznanie go bliższe.

Lecz spodziewane bliższe poznanie nie nastąpiło tak szybko, gdyż Tomasz Radnowski nie zastał w domu Ilskiego

ani jego towarzysza Kobuza. Zawiedziony wsunął bilet wizytowy w szparę pod drzwiami pokoiku „na górce“, opatrzonemi nazwiskami obu przyjaciół.

— Pan nie zastał moich lokatorów? Wyszli obaj przed godzinką, rozległ się głos na dole.

Tomasz Radnowski specjalista od głosów, poznający w nim nieomylnie wszelkie odcienia, odwrócił się żywo pociągnięty nagłą sympatją ku temu, który przemówił doń z dołu skrzypiących schodów. Był to głos nalany ciepłem i słońcem a tak młody, że zdziwił się mimowoli, ujrzawszy pomarszczoną, starą postać księdza Michalaka.

— Wyszli przed godzinką, — powtórzył tenże, — Jeżeli pan ma do nich jakie zlecenie, mógłbym im powtórzyć...

— Dziękuję, chciałem ich tylko odwiedzić, — odparł Tomasz, a wiedziony zarówno sympatją, jak nagle dostrzeżoną możliwością dowiedzenia się czegoś bliższego o Ilskim, zeszedł spiesznie na dół, przedstawił się staremu człowiekowi i nawiazał z nim rozmowę.

Ksiądz jesteś, właścicielem tego domku? — zapytał ciekawie po wymianie pierwszych zdań.

— Właścicielem?... chyba nie... Co najwyżej zarządzającym... właścicielami są dobrzy ludzie z których groszowych składek plac i znajdujący się na nim domek, zostały zakupione, oraz sieroty, które tu w czasie, oby najrychlejszym zamieszkają.

— W tym domku?...

— Boże broń! To rudera, przeznaczona na rozbiórkę. Na jej miejscu, na tym placu, który, jak pan widzisz jest duży i nieużyteczny, stanie wielki przestronny sierociniec, mogący pomieścić conajmniej 200 dzieci. Projektuję żłobek, ochronkę i internat dla starszych w wieku szkolnym... Mam już plany gotowe... Zrobił mi jeden architekt za darmo... Zacny człowiek... Bóg mu nagrodzi... Piękne plany... Może pan chciałbyś je zobaczyć?

W głosie starego, tym sympatycznym głosie działającym nieodparcie, drgała prośba i Radnowski poszedł za nim przez pierwszy pusty pokoik w którym czuć było stęchliznę i stały szychty broszury o Opiece nad Dzieckiem, do następnego, gdzie z szuflady kulawego stolika, staruszek wygarnął poowijane w bibułę plany i rozłożył przed gościem. Z gorejącymi oczyma ukazywał mu kolejno profile i elewacje gmachu, rozkład sal, ich rozmiary, białe sypialnie, korytarze pełne światła, wielki dom opiekuńczy, praktyczny i nowoczesny. Zdało się, że widzi go już stojącym, ukochane dzieło żyje, ziszczone ciałem.

— Rzeczywiście piękny plan, — rzekł Radnowski z uznaniem, — Ale budowla bardzo kosztowna, a fundusze skąd?...

— Od dobrych ludzi, — odparł ksiądz, — z któremi Bóg mię zetknie... Bóg pomógł, — Bóg jeszcze pomoże... przytoczył swoje ulubione przysłowie, — czyż nie za ich pieniądze kupiłem już ten plac? Także kosztował niemało. Jest on już własnością sierot, własnością niezaprzeczalną, niewzruszalną, bo kupiony nie na spłaty, ale za gotówkę... Nie jest obciążony żadnym długiem. Ten sposób nie jest może praktyczny, i bardzo, niestety, powolny, ale pewniejszy niż posługiwanie się kredytem. Boję się długów, jak ognia. Widziałem w życiu wiele dzieł miłosierdzia poczętych z najczystszej miłości bliźniego, które załamały się i zniszczały z powodu ziemskiej przyczyny długów... Tak trudno orzec, gdzie kończy się zbytnia ufność w pomoc Bożą, a zaczyna lekkomyślność... Bo, zauważ pan, że w razie bankructwa, przepada i na marne idzie wszystko, więc i to na co ludzie ubodzy nieraz od ust sobie odjęli... Jakaż musi być ich gorycz i najsłuszniejszy żal! Bojąc się tego, nie śmiem nic robić na kredyt. Kupiłem plac, — teraz zbieram pieniądze na Cegłę, potem na cement, wapno, i t. d. W ten sposób mam przynajmniej pewność, że to co jest, — nie przepadnie... Nie dokończę ja, dokończy kto inny...

Umilkł, wodząc palcem z miłością po planie. *(C. d. n.)*

Z MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU
HISTORYKÓW W WARSZAWIE

Jak wzrasta zrozumienie doniosłości zagadnień misyjnych świadczą referaty, przedstawione na międzynarodowym kongresie historyków w Warszawie w dniach 21—28 sierpnia b. r. Wchodziły one w skład prac różnych sekcyj: historji religji, historji kolonjalnej i historji wielkich podróży i odkryć. Na wszystkich tych polach zaznaczyły się dobroczynne skutki pełnej poświęcenia, wytrwałej, nieustraszonej pracy posłanników Bożych.

Miło było słyszeć jak uczeni różnych krajów i narodowości, różnemi językami domagali się uznania dla zapoznanej pracy misjonarzy, jak nawoływali do wydawania ich listów i skromnych notatek, stanowiących poważne materjały naukowe. Ogółem było 7 referatów o misjach katolickich i jeden o protestanckich.

Prof. *Robert Ricard*, dyrektor Instytutu Wyższych Nauk Marokańskich w Rabat mówił o Franciszkanach i ich zasługach w badaniach etnograficznych i językowych.

Prof. *Callay* z Rzymu i prof. *Berghaus* z Münster przedstawili naukową doniosłość prac misjonarzy Kapucyńskich w Tybecie oraz na wyspach Karolińskich i Marjańskich, zwanych też Mikronezją. Badania naukowe utrudnia tam nietylko wielojęzyczność i ruchliwość ludności, często zmieniającej mieszkanie, ale i wielka uprzejmość wyspiarzy. Na pytanie, czy jakiś wskazywany przedmiot nosi tę lub ową nazwę — dadzą zwykle grzeczną odpowiedź twierdzącą, choćby nieprawdziwą. Na wyspie Saipan, liczącej 2437 mieszkańców, oprócz dwóch głównych języków, Marnorro i Kanaski, naliczono 7 pobocznych narzeczy.

Nie mniejsze zasługi dla nauki o kulturze jak dla samej kultury kładą członkowie Kongregacji św. Ducha, o których mówił dr. *Stanisław Kolipiński* C. S. Sp. z Bydgoszczy. Kongregacja ta licząca w swem gronie 586 księży, 258 braci-pomocników, 9465 katechumenów, 4120 nauczycieli, oraz 1157 zakonnic pracuje w 312 głównych stacjach misyjnych i 6709 pomocniczych w Afryce zachodniej — Gwinei, Nigerji środkowej, w Kongo, na wybrzeżu Zansibar, na wyspach Madagaskar, Reunion i t. d., wśród 25 miljonowej ludności, (w tem około 2 miljonów chrześcijan i katechumenów).

Jak inni misjonarze, tak i zakonnicy Ducha św. starają się zapoznać z mową tubylców, wniknąć w ich obyczaje, by szerząc wiarę Chrystusową i nową kulturę, zachować co jest dobrego w kulturze rodzimej. Zakładają szkoły powszechne i zawodowe, uczące rzemiosł, uprawy roli i najnowszych metod plantacji kawy, kokosów, trzciny cukrowej, kauczuku i t. p. Gdzie warunki na to pozwalają utrzymuje się szkoły o programach równych programom szkół europejskich, z łaciną, j. francuskim, angielskim, algebrą, hist. sztuki i stenografją. Zawiązano też organizacje młodzieży n. p. scouting.

Murzyńscy wychowankowie tych szkół śmiało więc mogą rywalizować w znajomości przedmiotów nauki szkolnej ze swymi europejskimi rówieśnikami.

Wśród instytucyj, utrzymywanych przez zakonnice Ducha św., zwracają uwagę zakłady wychowawcze dla narzeczonych. Pod opieką zakonnic, lub doświadczonych pań świeckich, dziewczęta mające wstąpić w związki małżeńskie spędzają tam kilka miesięcy ucząc się gospodarstwa. Zakłady te tak dobre dały wyniki, że często młodzi ludzie sami przyprowadzają swe narzeczone, ponosząc koszta ich utrzymania.



Rodezja północna. — Dziewczynka z okolic Katondve, pierwszej placówki misyjnej polskich O. O. Jezuitów, pracujących tam od 1913 r.

Działalność misyjną Jezuitów i ich naukowe zasługi w tej dziedzinie przedstawiły 3 referaty: P. *Hedwige V. Nunes* z Bombaju o wielkiej naukowej wartości materjału historycznego, zawartego w listach i djarjuszach jezuickich misjonarzy. Listy św. Franciszka Ksawerego, O. Aquavivy i inne są tak cenne, że zapoznać się winien z niemi każdy, kto bada dzieje Indyj.

Referat prof. *Garcia Villada* z Madrytu przedstawił działalność takich pracowników jak O. José de Acosta, który przebiegał kraj od Meksyku do Patagonji, a O. Lorenzo — Argentynę, Urugway i Paragway badając faunę i florę. Sprawą wierzeń religijnych tamtejszej ludności zajął się O. Ariaga, a praca O. Colin'a o Filipinach, drukowana w 1613 r., doczekała się nowego wydania w 1900 i 1903 r. Pierwszy katechizm w języku meksykańskim wydali Jezuici w 1582 r. Im też zawdzięcza się drukowaną w 1595 r. gramatykę meksykańską i liczne słowniki.

Prof. *George Moraes* z Bombaju dał ładny obraz taktownego i umiejętnego postępowania OO. Jezuitów, dzięki któremu chrześcijaństwo zyskało uznanie na dworze mongolskich władców Indyj w XVII w. Niezwykłem poważaniem cieszyli się: O. Pedro Zuzarte, O. Stanisław Malpica, który był nauczycielem Księcia Dara, syna cesarza Shah Jahan, i O. Henryk Buse, nieodłączny towarzysz księcia, mile widziany też przez cesarza Aurangzeba. Świadczą o tem słowa listu O. Ceschi z dn. 5. września 1651 r.: „Jak miło widzieć chrześcijańskiego Ojca, stojącego tak blisko księcia, rozmawiającego z nim poufale, choć odzianego ubóstwem wśród 500 dworzan błyszczących złotem i drogiemi kamieniami".

Książe Dara miał się kiedyś wyrazić: „Jeśli jest jakaś wiara prawdziwa na świecie — to tylko katolicka. Wiele razy rozmawiałem z wielu rzymskimi Ojcami z różnych krajów i zawsze, bez najmniejszej różnicy, mówili to samo. Nie jest tak w innych religjach n. p. żydowskiej, hinduskiej i mahometańskiej, gdzie wiele jest różnic". — Gdy na łożu śmierci otaczający księcia nie chcieli doń dopuścić O. Buse, ani żadnego innego księdza — zawołał: „Mahomet mnie zabija — a Syn Boży dał mi światło!"

CZY SIĘ POWIEDZIE IMPREZA NA RZECZ CHARBINA W AMERYCE.

Znana już w świecie muzycznym i przez miłośników radja młoda polska pianistka p. Magdalena Lipkowska opuszcza w dniu 11. IX. b. r. Kraków, śpieszy do Gdyni i tam siada na polski statek »Kościuszko« i odpływa do Ameryki. Celem jej wyjazdu — propaganda polskiej muzyki. Artystka oddaje cały swój talent muzyce klasycznej polskich kompozytorów, szczególnie wczuwa się swą młodą duszą pełną intelektualizmu muzycznego w utwory Szymanowskiego, Ekiera, Stojowskiego a nadewszystko żyje Chopinem.

Udało się osobom dbałym o misję polską w Charbinie, uprosić naszą pianistkę, by objechała naukowo-wychowawcze zakłady SS. Urszulanek w Stanach Zjednoczonych, których jest około 40 i tam koncertowała, poświęcając czysty dochód dla misji Charbińskiej. Radość wielka i ufność, że z pomocą Bożą uda się trochę dolarów (choć zniżonego kursu) przesłać dla polskich dzieci w Charbinie. Pianistka nasza po powrocie obiecuje i w polskich miastach koncertować w klasztorach Urszulańskich na rzecz misji Charbińskiej.

Zapraszamy nasze muzykalne Czytelniczki na ten koncert Polki dla Polek w Polsce z utworami polskich kompozytorów.

POLSKO-CHIŃSKA MISJA W CHARBINIE.

Wieści z Charbina dochodzą obecnie regularnie. Jeden z ciekawych listów nadeszłych w czasie wakacyj od M. Rafaeli Albrecht, Urszulanki, wprowadza nas w świat ich trudów i walk, radości i zwycięstw z pomocą łaski Bożej nad ciemnotą pogańskich zabobonów.

List rozpoczyna się opisem ich braków i potrzeb materjalnych. Mają długów aż 2.000 dolarów. Wartość dolara opadła, możnaby więc dług łatwiej teraz spłacić — ale — skąd na to wziąć?... Domek lichy i mały, tyle tylko, że własny — jak w nim przebyć długą, ostrą zimę?...

Zwycięstwo Japończyków pod wielu względami korzystne dla misji, niesie jednak momenty bolesne, gdy zwycięzca siłą władzy chce kraj zdobyty przekształcić i przenarodowić. Podajemy wiele mówiący opis wyjęty z listu, o którym wyżej była mowa.

»Nie umiemy dość dziękować Opatrzności Bożej, (która działa przez serca dobrych ludzi z Europy. — Dopisek redakcji), że mamy swój niby dach nad głową i kawałek pola. Gdyby nie to, byłybyśmy na bruku. Jak ułożą się stosunki w Mandżurji — nie wiadomo jeszcze. Można jednak wnioskować z metody, jakiej się trzymają Japończycy, że wkrótce Europejczycy nie będą mieli nic do roboty i Charbin opuszczą — tak się stało z Dairem. W Charbinie obecnie Japończycy zajmują wszystkie mieszkania, najładniejsze kamienice, płacą, ile kto zażąda, sprowadzają mnóstwo swoich towarów i tanio je sprzedają, bo nie opłacają cła... Niedługo jedynie »Misje« będą mogły swobodnie się rozwijać, poza tem Japończycy wszystkie urzędy zajmą i nie dadzą pracy Europejczykowi. Wiele tu wojska Japońskiego, całe dzielnice już zajęte przez rodziny japońskie. W ostatnich czasach objęli szpital miejski, na poczcie już są dawno...« Tyle z listu. Zanim jednak te misjonarki odczują skutki obcowania z narodem o wyższej kulturze jakim są Japończycy, dużo wody upłynie... Trzeba aby z rozpoczęciem roku szkolnego dzieci w Polsce pomyślały o biednych zaniedbanych dzieciach polskich i chińskich.

Każda szkoła może i powinna w ciągu roku urządzić chociażby skromną imprezę na cele misyjne. — Jak wiele zyskałaby mocarstwowość polska, gdyby i tam na dalekim wschodzie polskie placówki mogły i miały za co zająć się polskiemi biednemi dziećmi — gdyby polskie misjonarki mogły działać i nawracać Chińczyków i dać dowód, że naród nasz potężny i silny, skoro i na obce tereny swą kulturę niesie i szerzy panowanie Chrystusa wśród pogan.

M. Kl.

Pieniądze zebrane z imprez, ze składek, z loterji fantowych, z drobnych oszczędności prosimy nadsyłać P. K. O. Nr. 414.205. S.S. Urszulanki Sekretarjat Misyjny.